

Niewzruszony, poważny, rozsądny. Sądząc po jego charakterze, wydawał się niezdolny do tak dramatycznego gestu. Tymczasem cała seria negatywnych czynników doprowadziła go do desperacji. Przede wszystkim - jak się wydaje - niemożliwość bycia pierwszoplanowym bohaterem w świecie, w którym jako piłkarz przeżył tak wiele lat. W ramach odskoczni od teraźniejszości - kilka słów o Agostino Di Bartolomeim.

"Kapitan. Żółty jak słońce, czerwony jak serce". Był 30 maja 1984 roku, gdy na pełnej po brzegi i rozgorączkowanej Curva Sud pojawił się dziwny napis, liryczny w swojej prostocie. Wydawał się wpatrywać w świeżo ściętą, zieloną murawę Stadio Olimpico, który nigdy chyba nie był tak pełny i podekscytowany. Tamtego wieczoru Rzym się zatrzymał. Ten jeden raz pozwolił sobie zostawić za plecami swoje zwyczajne oblicze cynicznej i chaotycznej metropolii, żeby całkowicie owinąć się pulsującą, żółto-czerwoną flagą, w której falдах przelewało się i falowało całe miasto: od historycznych dzielnic Testaccio, Trastevere, Parioli, po nowoczesne peryferie pełne cementowych potworów i dzielnice-sypialnie.

W tym finałowym meczu Pucharu Mistrzów przeciw Liverpoolowi skupił się i zmieścił cały Rzym. Byli tacy, którzy załatwili sobie fałszywe papiery, żeby dostać się na Curva Sud i teraz, napędzani anormalną euforią, czekali na stojąco na początek spotkania. Były tysiące ludzi, którzy wylali się na place, żeby wspólnie przeżywać to spotkanie przed wielkimi ekranami, wśród łopoczących flag, rac i piwa. Byli tacy, którzy umówili się z przyjaciółmi i zasiedli w fotelach przed telewizorami, a ich serca biły tak mocno, jakby siedzieli na stadionowych trybunach. W końcu byli też tacy, którzy - jak "kuzyni" laziali - chcieliby ukryć się pod ziemią, ale mecz oglądali i tak, choćby po to, żeby marudzić i wieszczyć porażkę.

Na Olimpico atmosfera była naelektryzowana. Biły bębny, zaczęły się pierwsze śpiewy, oklaski przerodziły się w ogłuszający hałas. Piłkarze mieli właśnie wyjść na boisko, czekali w tunelu, jak gladiatorzy przed decydującą walką. Cały stadion jednogłośnie ich nawoływał: "Ago, Ago, Agostino gola!". Kibice śpiewali i już mieli przed oczami jeden z wykonywanych przez niego rzutów wolnych, jeden z tych pocisków ziemia-ziemia, które biegły tuż nad murawą, żeby skończyć w siatce rywali. Chóralny śpiew przechodził w wycie: Roma, wielka Roma zdobywczyni scudetto, wychodziła na boisko. Bruno Conti przeskakiwał z nogi na nogę bardziej nerwowo niż zwykle, bramkarz Tancredi całą swoją nerwowość wyrażał żując z furją gumę, a trener Liedholm szukał zagubionego nordyckiego spokoju nieustannie przygładzając włosy. W końcu na środku boiska pojawił się także kapitan. Agostino Di Bartolomei - dla Curva Sud Diba lub Ago - wydawał się być jedynym niewzruszonym przez ten ogłuszający huk, który - przyduszony przez wystrzelające race - docierał do uszu nieco zdeformowany. Opaska kapitana na ramieniu i idealnie ułożone czarne włosy - rzymianin od kołyski, romanista od pierwszego dziecięcego krzyku - nie było po nim widać żadnych emocji. Żadnego drgnięcia mięśnia, żadnego uśmiechu, żadnego gestu. A przecież wokół niego był stadion, który wydawał się wulkanem bliskim eksplozji. Ale być może właśnie za tymi nieprzeniknionymi ciemnymi oczami i za tym niewzruszonym spojrzeniem kryła się

cała miłość, jaką Di Bartolomei czuł do swojej Romy. Może ukradkiem także on rzucił okiem na ten dziwny napis, czując w środku wrzenie: żółty jak słońce, czerwony jak serce.

Była ósma rano 30 maja 1994 roku, kiedy Agostino Di Bartolomei - już nie Ago, już nie Diba, już nie kapitan czasów scudetto i wielu innych bitew, ale po prostu i banalnie Agostino Di Bartolomei, człowiek jak każdy inny, zredukowany do zwykłego życia z etykietką "byłego gracza" - podniósł się z łóżka. Wyszedł z pokoju w milczeniu, jak zawsze, żeby nie obudzić swojej żony Marisy, dawnej hostessy poznanej w roku scudetto. Powoli zszedł po schodach swojego domu - wspaniałej willi zatoczonej w zieleni w San Marco Castellabate, małym miasteczku nad brzegiem morza. Otworzył szufladę i wyjął z niej jeden ze swoich pistoletów. Był to Smith & Wesson kaliber 38. Di Bartolomei naładował go, poszedł na balkon i tam, w ciszy, nadal w piżamie, nacisnął spust. Strzał prosto w serce.

Żółty jak słońce, czerwony jak serce. Minęło dziesięć lat od tamtego pechowego finału Pucharu Mistrzów. Dokładnie dziesięć lat. Może to przeznaczenie - nazwijmy je okrutnym i prześmiewczym - przypomniało tamten napis zrodzony przez niewinną fantazję jakiegoś kibica. Przeznaczenie, ponieważ w tym samym dniu, dokładnie po dziesięciu latach, wszystkim romanistom znów zatrzymało się serce, a słońce zakryła ciemność. Przeznaczenie, ponieważ ten żółty i ten czerwony nałożyły się na siebie, zmieszały i zakryły, żeby potem pojawić się z siłą jeszcze większą niż wcześniej. Nigdy tak bardzo jak w te dwa dni 30 maja kibice nie potrzebowali słońca i serca. Przeznaczenie także, a może przede wszystkim, ponieważ tamto słońce i tamto serce przeniknęły okres dziesięciu lat, łącząc dwa momenty rozpacz, ale też dwa pokolenia. Tych, którzy byli wczoraj mistrzami a dziś są tylko eks, oraz tych, którzy dziś są mistrzami, a jutro będą eks. Tej bezlitosnej, nieustannej wymiany pokoleń nie da się uniknąć. A gdzieś w środku tej przepaści bez początku i bez końca, niezależnie od mijających lat, jesteśmy my, jesteście wy, są wszyscy.

Był tam też Agostino, ale nie zniósł tego. Stał się ofiarą syndromu zmierzchu - mówili niektórzy. Nie zniósł pustki, która pojawiła się w jego życiu po pożegnaniu z piłką - twierdziło wielu. Pewne jest, że dopóki jesteś wewnątrz, świat sportu cię chroni. Choć wydaje się cyniczny i bezlitosny, świat sportu osłania cię przed surowością życia i uczuć. Dopóki trwa. *Jestem gdzieś pomiędzy dwoma światami, ale w żadnym z nich nie czuję się jak u siebie w domu* - mówił Tonio Kroeger o swoim byciu artystą zagubionym. I takimi artystami można też nazwać wszystkich eks, wszystkich byłych piłkarzy, zawieszonych między wspomnieniami i banalnością codzienności, często niezdolnych do odnalezienia się we właściwym wymiarze. Dramat Di Bartolomeiego i wielu byłych graczy krył się może właśnie w tym poczuciu, że jest się artystami życia. Nie tyle ze względu na sławę czy na geniusz, ale ze względu na odmiennność i wyjątkowość, z jakąś snuli wątek własnej egzystencji.

W tekście jednej ze swoich piosenek Bruce Springsteen śpiewa, że, aby pewnego dnia spacerować w słońcu, trzeba najpierw nauczyć się chodzić wąskimi drogami ukrytymi w cieniu. Byli piłkarze mają problem, ponieważ ich los wygląda dokładnie przeciwnie: jako dwudziestolatkowie stają się sławni, a około czterdziestki muszą się znowu stać "zwykłymi ludźmi" I właśnie w tej anomalii kryje się artystyczna skaza ich życia. Dziesięć lat wcześniej Ago był tam, w blasku reflektorów na Stadio Olimpico, na szczycie swojej piłkarskiej kariery. Dziesięć lat później Agostino żył gdzieś pomiędzy różnymi zajęciami i projektami. Zdecydował się odejść i zrobił to wierny swojemu wizerunkowi anty-bohatera, bez wielkich proklamacji, bez poruszających zdarzeń. Liczyła się jego samotność i ból. Nam został żal i smutek. Nie ma sensu szukać słów, wskazówek, wyjaśnień. Aby zrozumieć jego gest wystarczy słowa kogoś, kto był jak on: anty-bohater, artysta w swoim stylu. Słowa Hamleta.

Umrzeć – zasnąć –

I na tym koniec. – Gdybyśmy wiedzieli,

Że raz zasnąwszy, zakończymy na zawsze

Boleści serca i owe tysiączne

Właściwe naszej naturze wstrząśnienia,

Kres taki byłby celem na tej ziemi

Najpożądanejszym. Umrzeć – zasnąć. – Zasnąć!

Może śnić?

Autor: kaisa